Nr. 5. 1891 r. Ogólnego Wydawnictwa Rok XIV.

GONIEC i ISKRA

Dziennik dla wszystkich, illustrowany.

Lwów, dnia 10. Lutego 1891 r.

Goniec i Iskra wychodzi trzy razy na miesiąc: 1, 10. i 20. każdego miesiąca. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują dodatki *bezpłatne* najczęściej *illustrowane* wychodzące nieperjodycznie w każdym miesiącu, oraz osobne *bezpłatne premia illustrowane.* Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gonca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. – Numer pojedyńczy kosztuje **25 centów.**

Właściciel i naczelny redaktor: M. D Chamski.



Ś. p. Tomasz Stanecki

Rektor Uniwersytetu lwowskiego.

(Patrz artykuł pod tym samym tytułem).

Od Wydawnictwa.

Rozpoczynając rok XIV. wydawnictwa, z umysłu nie piszemy obszernej rozprawy o tem, co było i o tem, co ma być. Było tak, jak w twardych naszych stosunkach i ciężkich warunkach bytu, mogło być najlepiej — będzie tak, jak pozwolą siły, cały zapas dobrej woli, najlepszych chęci i szczerego patrjotyzmu polskiego, który był, jest i będzie zawsze naszym codziennym pacierzem i artykułem wiary. Pismo nasze będziemy redagować w tym samym duchu i kierunku, będziemy urozmaicać i dołożymy wszelkich starań, aby było pouczające, pożyteczne i przyjemne. Za usterki w wydawnictwie, jeśli były jakie, serdecznie przepraszamy — ciężko jest wszystkim w naszych stosunkach, ale najciężej, niezawodnie, wydawnictwom perjodycznym w Galicji.

Szanownych prenumeratorów naszych prosimy uprzejmie, aby byli łaskawi odnowić bieżącą i wyrównać zalegającą prenumeratę, nadmieniając, że wszelkie zaległe rachunki, są dla wydawnictwa bardzo uciążliwe. Wszelkie korespondencje tak zwykłe, jak pieniężne adresować należy:

Administracja „Gońca i Iskry“
we Lwowie
ulica Kraszewskiego l. 23.

Ś. p. Tomasz Stanecki.

(Do portretu).

Zamieszczając wizerunek zmarłego rektora uniwersytetu lwowskiego, do tych kilku słów, które zamieściliśmy w Nr. 2. *Gońca i Iskry* zaraz po zgonie — dodajemy następujące wspomnienie pośmiertne, streszczone i przerobione według warszawskiego *Tygodnika Illustrowanego.*

Zmarły rektor był zasłużonym pedagogiem i niezmordowanym pracownikiem na polu oświaty i wychowania młodszego pokolenia. Przed zajęciem katedry uniwersyteckiej w charakterze profesora fizyki, w r. 1873., dziesięć lat pracował, jako profesor w gimnazjum Franciszka Józefa we Lwowie.

Był synem ubogiego, powszechnie szanowanego mieszczanina z Wadowic, gdzie urodził się dnia 23. grudnia r. 1826. Jako uczeń szóstej klasy gimnazjalnej, dostał do rąk Stanecki zadanie konkursowe z wyższej matematyki, rozpisane przez akademją umiejętności w Wiedniu; nie wiedzieć zkąd mu przyszła ochota potrudzić głowę nad jego

rozwiązaniem i cichaczem, wspólnie z jakimś kolegą, bez potrzebnych wiadomości przygotowawczych z tak trudnej i obszernej dziedziny naukowej, kierując się tylko logiką i intuicją, potrafił zadanie to rozwiązać tak doskonale, że w kilka tygodni później z wielkiem odznaczeniem uzyskał pochwałę, w obec całego gimnazjum.

Porając się z niedostatkiem, utrzymując z dawania lekcyj, ukończył o własnych siłach, z żelazną energją i wytrwałością, tak zwany wydział filozoficzny we Lwowie i doszedł po wielu przeszkodach i trudach do upragnionego celu: otrzymał suplenturę i rozpoczął zawód nauczycielski.

Od tego czasu, przez lat czterdzieści przeszło, pracował niezmordowanie zarówno nad sobą, jak nad młodzieżą. Bezustannie dążył wyżej i wyżej, został docentem uniwersytetu, a potem zwyczajnym profesorem, dziekanem wydziału filozoficznego, aż wreszcie pozyskał najwyższą godność z berłem rektora, którą, niestety, piastował zaledwie kilka miesięcy.

Nazywano go słusznie bohaterem pracy nieznużonej, a czasu musiało mu starczyć na wszystko; poza obowiązkami na katedrze, spełniał obowiązki docenta w szkole leśnictwa i weterynarji, był członkiem komisji egzaminacyjnej dla nauczycieli szkół gimnazjalnych i realnych w Galicji, członkiem i to wielce czynnym komisji fizjologicznej w krakowskiej akademji umiejętności, kierownikiem stacji obserwacyjno-meteorologicznej, z której przez lat kilkanaście posełał sprawozdania do specjalnych pism w Wiedniu i Waszyngtonie; a obok tego wszystkiego, miał czas na prowadzenie własnych studjów, na opracowywanie dla uczącej się młodzieży podręczników szkolnych z dziedziny fizyki, geometrji, arytmetyki, algebry, które uznano za jedne z najlepszych pod względem wykładu i języka; wydał „Krótki rys meteorologji“ i cały kurs „Algebry i geometrji dla leśniczych“, a nadto w pismach specjalnych, jak „Kosmos“, „Bartnik“, „Czasopismo aptekarskie“ mnóstwo umieszczał cennych i sumiennie opracowanych artykułów.

Wielką zasługę położył około rozpowszechnienia w kraju stacyj meteorologicznych, a jeszcze większą około ustalenia polskiej terminologji naukowej w przedmiotach przez siebie wykładanych, dbając gorliwie o czystość i poprawność języka, którego był gruntownym znawcą i wielbicielem.

Od ręki.

== Amerykańskim naszym kolegom.

Już dawniej wspominaliśmy, że pisma polskie, wychodzące w Ameryce bez żadnej ceremonji przedrukowują powieści, większe i mniejsze artykuły z pism krajowych nie cytując wcale źródła. Naturalnie, był to groch na ścianę i nasi koledzy w Ameryce, jak robili, tak i teraz robią. Uważamy, z resztą, za rzecz nawet pożyteczną, żeby pisma polsko-amerykańskie korzystały z naszych pism, bo na oryginalnej literaturze polsko-amerykańskiej tamtejsza Polonia nie wyżyje — dlaczego, jednak, eskamotować, zamiast brać otwarcie i mówić skąd się wzięło, skoro nikt tego nie broni — to stanowi pewien rys charakterystyczny tamtejszych pracowników pióra, którzy w cudze pióra się stroją i pomimo, że żyją na wolnej ziemi, a liberalne idee zjadają od rana do późnej nocy — z cudzą sławą, własnością, jeśli policjant jaki przy nich nie stoi, nie robią sobie ceremoniji i także je zjadają... Czasem dochodzi to do śmieszności, a próżniactwo i niedołęstwo redaktora, który nie zrobi nawet odpowiedniej zmiany — przechodzi wszelkie pojęcie. Tak np. w jednym z ostanich numerów *Kurjera Polskiego* z Milwaukae, który nas doszedł, przedrukowano od początku do końca z *Gońca i Iskry* wspomnienie pośmiertne o zmarłym we Lwowie literacie Arkadjuszu Kleczewskim gdzie jest powiedziane: „garść wspomnień osobistych, rzucamy na świeżą mogiłę i t d. „*Kurjer* tedy, który, ani Kleczewskiego znał, ani go widział, ani niewiedział nawet, że żyje na świecie, raptem, gdy umarł, ma dla niego „garść *osobistych* wspomnień“. Zanotować też uważamy sobie za obowiązek, że nie wszystkie pisma polsko amerykańskie zamilczają o źródłach przedruków, tak np. *Wiarus* i *Zgoda* cytują pisma, z których korzystają.

== Kronika żałobna.

Meissonier, wielki malarz francuzki, umarł w Paryżu w sobotę d. 31. stycznia, w skutek przeziębienia, na jakie naraził się w dniu 3. stycznia i którego zwalczyć nie zdołały starania najlepszych lekarzy doktorów Guyon, Potain i Foubert.

Jan Ludwik Ernest Meissonier urodził się w Lyonie 21. lutego 1811. Od dzieciństwa ujawniał upodobanie i skłonność do malarstwa, które studjował najpierw w Grenobli, potem w Paryżu. Dopiero w roku 1834 jednak, wystawił w paryzkim Salonie pierwsze swoje płótno, przedstawiające „Mieszczan Flamandzkich“, ale też z miejsca zjednał sobie niem rozgłos. Dziś obraz ten znajduje się w zbiorach pozostałych po słynnym bogaczu amerykańskim Ryszardzie Wallace. W następnym roku zyskał taki sam sukces „Partją szachów“, znaną powszechnie z licznych reprodukcyj. Z dalszych jego obrazów zasłynęły szczególniej: „Zakonnik odwiedzający chorego“, „Lekarz angielski“, „Święty Paweł“ i „Izajasz“, „Czytelnik“, „Koszary“, „Partja Pikiety“, „Napoleon III. pod Solferino“ i t. d.

Na wystawie w r. 1879 było szesnaście aż obrazów Meissoniera — wszystko arcydzieła. Na wystawach w r. 1889 aż dwadzieścia i jeden, w tej liczbie znakomity „Wizerunek Paryża podczas oblężenia“, „Thiers na łożu śmiertelnem“ i t. d.

Meissonier otrzymał za życia wszystkie nagrody, jakie mogą być udziałem artysty. Medali, orderów, oraz dyplomów honorowych miał *trzy pełne szuflady*. Pozostawił znaczną fortunę i nader bogate zbiory Pomimo wieku podeszłego, trzymał się wybornie i pracował z prawdziwem zamiłowaniem do ostatniej chwili nieledwie.

Zmarł w Warszawie Wincenty Korotyński — literat zajmujący bardzo wybitne stanowisko. Ponieważ w jednym z najbliższych numerów *Gońca i Iskry* podamy wizerunek zmarłego, wraz z obszerniejszym życiorysem — poprzestajemy więc dziś na zanotowaniu tylko tej smutnej wiadomości, swieżo z Warszawy nadeszłej.

== Amerykański wynalazek.

Niech będzie, jak chce, ale ci yankesi miewają niekiedy naprawdę oryginalne pomysły. Znana jest historja o owym facecjoniście, który podczas egzekucji jakiegoś zbrodniarza, staruszce, dopytującej się za co go tracą, odpowiedział, że to jest oszust, który śnieg suszył w rozpalonych do czerwoności piecach i potem go uczciwym ludziom za cukier sprzedawał. Na podobną historję zakrawa wiadomość o przerabianiu cukru na marmur, a jednak ma to być wiadomość prawdziwa. Jakiś fabrykant w Waszyngtonie wynalazł sposób takiego przyprawiania cukru, że staje się trwalszym od marmuru materjałem budowlanym, a ma wszelkie pozory marmuru kararyjskiego. Na próbę ma być z takiego cukru zbudowany nowy „biały dom“ dla prezydenta Stanów Zjednoczonych.

== Współzawodnik.

Literaci europejscy niebezpiecznego zyskali współzawodnika. Angielskie pismo dla dzieci: „Little Folks“ ogłosiło konkurs na nowelkę, z warunkiem, że kandydat musi być w wieku dziecinnym. Któż wyobrazi sobie zadziwienie areopagu konkursowego, gdy po przyznaniu nagrody i otwarciu koperty, kryjącej w sobie nazwisko nagrodzonego, przekonano się, że był nim — dwunastoletni królewicz syamski!...

== Siostry Siamskie.

Słynni byli niegdyś bracia siamscy, (urodzeni w Siam w Azji) zrośnięci piersiami. Obwozili ich, jako ciekawość po świecie, poczem zebrawszy majątek osiedli w Ameryce i tam pomarli w wieku lat kilkudziesięciu. Niedawno zaś w Cannes, w południowej Francji, młoda, dwudziestopięcioletnia kobieta powiła dwie dziewczynki, zrośnięte ze sobą ramionami. Dzieci są dobrze rozwinięte i zupełnie zdrowe. Lekarze orzekli, iż rozcięcie ich nie jest możliwe, gdyż zagraża życiu niemowląt.

Wychowaniec.

Powieść z angielskiego

przez

Waltera Besant.

(Ciąg dalszy — patrz nr. 4.)

V.

U siebie.

Pokój na górze, wynajęty przez Laurentego w domu Lucjusza Cottle, był tak zwanym pokojem gościnnym, jaki na mocy starego zwyczaju znajdować się musi w każdym porządniejszym domu. Umeblowanie jego odpowiadało zupełnie urządzeniu bawialnego pokoju: wielkie łoże z baldachimem, wspartym na mahoniowych filarach, wysokie krzesła, stół ciężki na jednej nodze, na ścianach alegoryczne obrazy: *Wytrwałość kierowana przez Wiedzę*, *Niewinność* i *Pokusa*, — na komodzie bronzowe lichtarze i starożytny wazon.

Laurenty otworzył okno i zapaliwszy cygaro, patrzył w ciemność panującą na cichej, bezludnej ulicy. Rzeka nawet milczała, z oddali tylko od czasu do czasu dochodził odgłos przejeżdżającej dorożki, zresztą — choć była dopiero godzina dziesiąta — wszystko tu zdawało się być uśpionem i tylko światła w oknach nizkich domów świadczyły o życiu ukrytem.

Nakoniec zapalił świecę, usiadł przy stole i z bocznej kieszeni wyjął gruby pugilares. W osobnej przegródce znajdował się tu list, z kiku arkuszy złożony; Laurenty go wyjął i uważnie rozłożył przed sobą.

— Tak, droga matko — rzekł, patrząc na drobne, wyraźne pismo, — zrobiłem więcej, niż się spodziewałaś. Nocuję po raz drugi pod dachem Lucjusza Cottle i poznałem już prawie wszystkich, o których mi mówiłaś. Ale odczytajmy raz jeszcze uważnie twoje pismo, zdaje mi się, że teraz zrozumiem je lepiej.

»Najdroższy synu! Wyprawiając cię w podróż tę długą i decydując się na tęsknotę i niepokój kilkomiesięcznej rozłąki, pragnę nietylko, abyś ujrzał ziemię, na której urodzili się twoi rodzice, lecz także, abyś o ile możności starał się naprawić krzywdy, jakie wbrew mojej woli, ale z wiedzą moją wyrządzone zostały twoim rodakom.

»W tym celu, zaspokoiwszy ciekawość właściwą twemu wiekowi i nasyciwszy się widokiem wspaniałego miasta, udasz się synu mój, na południową stronę Tamizy, do miejscowości zwanej powszechnie Bank-Side i dowiesz się o osoby, które ci w ciągu dalszego opowiadania wymienię. Wiele może z nich żyje, inne opuściły miejsce dawnego pobytu, ale zastaniesz zawsze jeszcze kogoś z tych, których znałam w młodości.

Bank-Side jestto dzielnica uboga, schronienie pracowitej, rzemieślniczej i wyrobniczej ludności, znajduje się tam jednak kilka lepszych domków, a jeden z nich przed trzydziestu laty należał do mego wuja Wincentego Cottle, który w tym czasie utrzymywał szkołę na wybrzeżu. Wątpię, ażebyś zastał go jeszcze przy życiu, lecz miał syna Lucjusza i trzy córki: Julię, Kornelię i Klaudję.

— Kornelia, moja matko, »należy do kościoła« — rzekł młodzian, podnosząc oczy i patrząc przed siebie przez chwilę.

— Co to, u licha, ma znaczyć? Wdowa po jakim biskupie, czy może wstępuje do zakonu? Klaudja jest jasnowidzącą, natchnioną, a Julia, jak wiesz, nie żyje. Lucjusz, jak mi się zdaje, musi być adwokatem, a w każdym razie prawnikiem. Dziwię się tylko, że mieszka jeszcze na Bank-Side.

»Najstarsza z moich kuzynek, Julia, bardzo młodo wydaną została za starszego od siebie o lat przeszło 20 człowieka, niejakiego pana Norbery. Prawdopodobnie majątek starego skąpca skłonił rodzinę do zezwolenia na ten niestosowny związek, który trwał krótko, gdyż Julia umarła w lat parę po zamążpójściu.

»Ona jedna ze wszystkich trzech kuzynek była rzeczywiście moją przyjaciółką, Kornelia i Klaudja traktowały mię zawsze z pewną dumą, jak ubogą krewnę, nigdy też nie byłam z niemi szczerze i nie łączyły nas wcale serdeczne stosunki.

»Ja i jedyna siostra moja Flora byłyśmy tak biedne, ze nie mogłyśmy nawet uczęszczać do szkoły i dziećmi prawie byłyśmy zmuszone zarabiać na swoje utrzymanie. Wkrótce też Flora dostała się do sklepu z łokciowym towarem, a ja chodziłam po domach prywatnych, zajmując się krawiecczyzną. Niekiedy trafiałam na ludzi uczciwych i dobrych, lecz często wyzyskiwano moją pracę bez litości, wymagając więcej, niż zrobić byłam w stanie.

»Po latach kilku Flora dostała dobre miejsce na prowincji. Rozstawałyśmy się z żalem. Listy z początku były naszą jedyną pociechą, pisywałyśmy też często. Lecz po niejakim czasie przestałam odbierać odpowiedzi i odtąd żadnym sposobem nie mogłam się dowiedzieć o biednej dziewczynie, tak młodo puszczonej w świat o własnej sile, tak niegdyś świeżej, wesołej i pełnej wiary w swe siły.

»O synu mój, ty nie wiesz, jak ciężką jest droga życia ubogiej samotnej dziewczyny!

»Ostatniej niedzieli każdego miesiąca bywałam u swego wuja, Wincentego Cottle, który przyjmował mię bardzo łaskawie. Kuzynki wypytywały mię grzecznie o pracę i zarobek. Julia tylko wybiegała za mną na wybrzeże i zwierzała się ze swych smutków, żądając nawzajem zupełnej odemnie szczerości.

»Jakże mi dziwnie wspominać teraz te czasy, wśród bogactw, które mię otaczają, powozów, służby, przyjaciół, a nawet pochlebców. Jak mi się czasem wydaje nieprawdopodobnem, by w życiu jednostki podobne zmiany zajść mogły! Dom mego wuja wydawał mi się niegdyś tak wspaniałym, — czy i na tobie zrobił podobne wrażenie?«

Laurenty odłożył list znowu i uśmiechnął się dobrodusznie, spoglądając na łoże pod baldachimem i starożytne krzesła.

»Nie mogłam nawet wyobrazić sobie nic bardziej pięknego, a osoba wuja wydawała mi się uosobieniem powagi i pańskiej godności.

»Wkrótce po śmierci Julji, p. Norbery zaproponował mi, żebym zajęła się zarządem jego domu. Mówił, że nie jestem dla niego obcą, że zna moją oszczędność i nie lęka się, że trwonić będę jego dobro, że przez lat parę, bywając u Julji, miałam sposobność poznać sposób życia, wymagania jego i zwyczaje. Ofiarował mi za to, oprócz utrzymania, sześćdziesiąt funtów szterlingów rocznie. Dla biednej dziewczyny był to prawie majątek, nic też dziwnego, że bez wahania przyjęłam tę niespodziewaną, a tak korzystną propozycję.

«Z niepojętego dla mnie dotychczas powodu, Kornelia i Klaudja obraziły się o to na mnie, wyrzucały mi, że bezprawnie zajęłam miejsce ich siostry i stały się tak zimne, dumne i surowe, że nie śmiałam się więcej pokazać w domu wuja Wincentego.

»A teraz, mój synu, czytaj bardzo uważnie to, co następuje, gdyż tym tylko sposobem będziesz mógł zrozumieć dokładnie moje życzenia, nadzieje i chęci.

»Wiedziałam dobrze odrazu, przyjmując propozycję pana Norbery, co czeka mię w jego domu. Opinie skąpca miał on wyrobioną oddawna, a ja, lepiej może, niż ktokolwiek inny, znałam tę jego słabość. Przeczuwałam, że będzie mi ważył każdy kawałek chleba, wyliczał listki herbaty, cóż to znaczyło jednak w porównaniu z wieczną tułaczką i biedą, do jakiej nawykłam od dziecka? Potrafiłam też pod tym względem zadowolnić jego wymagania i pozyskać zaufanie zupełne. Zresztą, w stosunku domowym był on małomówny i dość delikatny, tak, iż nie lękałam się wcale innego rodzaju przykrości.

»Mieszkał wówczas w Southwark Bridge, w starym, okopconym i poczerniałym domu, który był jego własnością. Zajmował mieszkanie obszerne, urządzone bardzo dziwacznie, a właściwie zapełnione tylko nagromadzonymi sprzętami, które bezustannie nabywał i sprzedawał z zyskiem. Podobne to było do składu przeróżnych towarów. Jednego dnia nie można się było przecisnąć pośród kosztownych wyścielanych mebli, obrazów, porcelany i bronzów, — drugiego trzeba było z kuchni przynosić drewniane stołki, abyśmy mieli usiąść na czem do obiadu.

»Nie znałam przedtem ani później nawet człowieka, któryby prowadził życie tak samotne. Pan Norbery nie miał przyjaciół, znajomych, nie bywał nigdzie i nikt nie odwiedzał go nigdy. Nie potrzebował, nie lubił wcale towarzystwa. Raz go spytałam, czy nie ma rodziny, lub krewnych. Zawahał się, ale po chwili odpowiedział, że nie ma nikogo. Przekonałam się potem, że to nie było prawdą.

»Pan Norbery zajmował się wypożyczaniem pieniędzy, prawdę mówiąc, był poprostu lichwiarzem, choć sądzę dzisiaj, że lichwa nie stanowiła jedynego jego zajęcia. Był on potrosze prawnikiem, przyjmował klientów, spisywał urzędowe akta, udzielał porady prawnej; a w pewnych tylko godzinach zasiadał w swojem biurze, w którem udzielał pożyczek. Klientelę jego po większej części stanowili kupcy, których interesa prywatne, stan hypoteki, dochody znał lepiej, niż oni sami. Wiedział, który z nich pije, gra w bilard, chowa wyścigowe konie, ma syna marnotrawnego, lub rozrzutną żonę. Znał ich słabości, upodobania, troski i tajemnice i ze wszystkiego musiał wyciągnąć dla siebie korzyść.

»Nie brakowało go nigdy na żadnej licytacji, wiedział o wszystkiem i zawsze umiał »przypadkiem« spotkać człowieka, który miał do sprzedania rzecz cenną, a nie znał jej istotnej wartości. Kupował za bezcen obrazy, futra, chińszczyznę, książki, porcelanę, lustra, a potem sprzedawał zacierając ręce i uśmiechając się zapadłemi siwemi oczami. Miał on rodzaj agenta, czy służącego, Józefa Mayes, który mu wiernie dostarczał wszelkich informacyj. Ten biegał bezustannie po mieście, miał wszędzie stosunki i znajomości, potrafił wszystko wyśledzić, podpatrzyć, wykryć, wyłudzić. Pan Norbery cenił go bardzo, choć skąpił mu każdego grosza; ja znieść nie mogłam tego podstępnego lisa, o dobrodusznej twarzy i kamiennem sercu.

»Tak więc przekonałam się wkrótce, że zadaniem mego chlebodawcy było korzystanie z nieszczęścia, potrzeby, zaślepienia, albo występku swych bliźnich. Jestto zajęcie, prowadzące zawsze do majątku, lecz czyniące człowieka samotnym pośród społeczeństwa, niezdolnym wzbudzić współczucia, sympatji ani przyjaźni.

»Życie tego dziwaka, skąpca i lichwiarza było niezmiernie proste i monotonne na pozór. Zrana wychodził za interesami i powracał dopiero w południe. Po obiedzie szedł do swego »biura« i do godziny ósmej udzielał w niem pożyczek i przyjmował interesantów. Nie brakło ich nigdy. Jeden spieszył z nadzieją poratowania swoich interesów, za pomocą jednorazowej pożyczki, drugi przychodził zgnębiony, czując więzy, którymi go oplątano. Biedna wdowa z książeczką emerytalną, właściciel domu niemającego czystej hypoteki, złoty młodzieniec, oczekujący spadku po bagatym wuju, — szli wszyscy jeden za drugim, cierpliwie czekając kolei. Rozpoczynając interes, pan Norbery był nadzwyczaj uprzejmym. Rzecz wydawała się prostą, umawiano się o termina i w kilka minut załatwiono sprawę sprawę. — Potem okazywały się pewne trudności, — pan Norbery wymagał dotrzymania zbyt pospiesznie danych zobowiązań, potrzebował pieniędzy, ustąpić nie mógł, warunki stawiał coraz cięższe.

»Siedząc w sąsiednim pokoju, słyszałam nieraz płacz, prośby, błagania, a nawet przekleństwa. Nic jednak nie zdołało wzruszyć tego twardego człowieka.

»Po kolacji zapalał fajkę i wypijał kieliszek wódki. To był jego zbytek. Wówczas rozmawiał niekiedy, mówił o interesach, o swojej zręczności, rozumie, o niesłowności, niedbalstwie i lekkomyślności klientów. Dziś odgaduję, że chciał tym sposobem zjednać sobie w mych oczach opinję człowieka surowego, lecz sprawiedliwego, który wymaga tylko, by inni równie sumiennie i ściśle dopełniali względem niego swoich zobowiązań.

»O jednej zwłaszcza sprawie lubił rozmawiać zemną, a raczej opowiadać mi często. Stanowiła ona niemal podstawę całej jego fortuny i zdawało się, iż pragnie mnie wtajemniczyć we wszystkie szczegóły tego szczęśliwego interesu. Rozpoczynał zawsze od początku i opowiadał płynnie, jak wyuczoną historję. Co do mnie, przyszłam prędko do wniosku, że jestto opowiadanie bardzo niedokładne, mające raczej na celu ukryć pozostałą część prawdy, niż odsłonić

Miła wiadomość.



— Tatko zdrów?..
— Zdlów, ale zły — gniewa się...
— Na co?..
— Na mamę...
— Za co?..
— Ja nie wiem, tylko mówi, że na plecach kogoś, własny jego kij połamie...

---

tę, o której mówił. Była to historja długów Sylwestra Indagine«.

Laurenty przerwał czytanie. Było to nazwisko pięknej czarodziejki i poety, którego dziś widział. Sylwester Indagine... to imię także młodego człowieka, z którym podróżował do Anglji.

— Nie mylę się — po chwili powtórzył. — Słyszałem wyraźnie »profesor Sylwester Indagine«.

»Pan Norbery namówił go do sprzedaży domu; tak jest, przyznaje to otwarcie. To była przyjacielska rada. Kupił go sam i zapłacił prawie nad wartość. Nikt inny nie chciał dać takiej ceny. Cóż on winien, że dom był zadłużony? Sylwester Indagine miał obowiązek sam pamiętać o tem Nie miał czem spłacić i umarł w więzieniu za długi. Kto winien? Człowiek lekkomyślny, który sam nie zna swoich zobowiązań, nie umie się liczyć. »Kłamstwo więc, że skrzywdziłem własną siostrę — dodał jednego wieczoru. — Ona nie żyła, a marnotrawca, który przywłaszczył sobie jej mienie, powinien mi je był zwrócić«.

»Nie zrozumiałam wówczas tych słów oderwanych. Nikt nie przypuszczał, żeby pan Norbery miał kiedykolwiek rodzinę, żona jego nawet nie wiedziała o tem.

»Razu jednego wspomniał, że syn Sylwestra Indagine wstępuje w ślady ojca. Starszy Klemens jest niedołężny, lecz spokojny — mówił, — ale Eneasz, prawnik, pije i gra w bilard, jak ojciec.

»Niejednokrotnie powracał do tego przedmiotu i mogłam zauważyć, iż bacznie śledzi obydwu młodych ludzi. Wkrótce odgadłam także przyczynę tego zainteresowania: odziedziczyli oni jeszcze coś po ojcu, jakiś zapis na ich imię zrobiony i to widocznie nie dawało spać lichwiarzowi. Przyznaję, że z wielkiem współczuciem myślałam o tych młodzieńcach, na których dobro czyhał chciwy pająk, żadnego jednak nie widziałam nigdy.

»Pewnego dnia, właśnie przed zamknięciem biura, usłyszałam bardzo podniesione głosy.

— »Co! — zawołał ktoś obcy. — Chciałeś obedrzeć syna, zamordowawszy mu ojca? Przygotowałeś dla Eneasza papiery, myślałeś, że ci je dzisiaj podpisze? otóż zawiodłeś się bardzo! Nie pójdzie i nie sprzeda ci swojej części.

— »Jeżeli tego nie zrobi, panie Luttrel, to zkąd weźmie pieniędzy, których potrzebuje koniecznie?

— »Obejdzie się bez nich. Przyszedłem panu powiedzieć, że wyjechał.

— »Wyjechał!... To pan go namówiłeś do tego; przyznaj się, doktorze, że twoja sprawka. Wyjechał!...

— »Tak jest, wyjechał. Dowiedział się dość wcześnie, że to pan kupiłeś jego długi, — dlaczego, — i wyjechał. Teraz go pan nie dosięgniesz.

»Pan Norbery milczał.

— »A ja przyszedłem powiedzieć ci o tem lichwiarzu, który zamiast być wsparciem, opieką dla dzieci jedynej twej siostry, sam własną ręką wiodłeś je do zguby. I w jakim celu? Żeby im wydrzeć ostatni dach nad głową! I nie wstydzisz się tych kamieni, zbrodniarzu!

— »Nie słyszę, co mówią kamienie, a pan idz sobie, skoro powiedziałeś mi poco przyszedłeś.

— »Jeszcze nie wszystko. Chcę ci wyliczyć twoje zacne czyny, śmierć siostry, więzienia jej męża, okradzenie własnych siostrzeńców.

»Mówił dość długo, ale wiedziałam już rzecz najważniejszą: pan Norbery miał blizką rodzinę, rodzonych siostrzeńców: Klemensa i Eneasza Indagine, synów skrzywdzonego przez siebie Sylwestra. Rzeczywiście był to człowiek bez serca.«

— Teraz rozumiem zupełnie, — rzekł Laurenty. — Widziałem nawet doktora Luttrel, szedł razem z poetą, z Klemensem. Nie zdaje mi się jednak, aby szanowny wujaszek pozostawił swoim siostrzeńcom z taką chciwością nagromadzony majątek.

»Obejmując obowiązki u pana Norbery, byłam już narzeczoną, — pisała dalej pani Waller. — Mąż mój miał warsztat stolarski na Rotherhithe, lecz nie mógł się jeszcze żenić z powodu długów i spraw rodzinnych, które musiał uporządkować poprzednio. Nie śmiałam powiedzieć o tem odrazu panu Norbery, potem było mi jeszcze trudniej. Wiedziałam, że nie zechce mnie puścić i dopiero kiedy oznaczyliśmy dzień ślubu, powiedziałam mu, że odejść muszę. Nie przeczuwałam, jak strasznie go rozgniewam, nie miałam wyobrażenia, jak wielką przywiązywał wartość do mojej osoby. ¡Oskarżał mnie o niewdzięczność i zdradę, potem zaczął pochlebiać, podwoił płacę roczną, a w końcu oświadczył, że gotów się ze mną ożenić.

— »Będziesz jedną z najbogatszych kobiet w całem mieście! — rzekł z dumą, nie przypuszczając, abym odmówić mogła.

»Lecz kochaliśmy się bardzo z twoim ojcem i kiedy zrozumiał nakoniec, że nic mnie nie wzruszy, uspokoił się i rzekł głosem twardym:

— »W takim razie, kuzynko Luccy, — zawsze mnie nazywał kuzynką, — będziesz łaskawą w ciągu godziny opuścić ten dom na zawsze. Posłuchaj jednak, co powiem ci, zanim odejdziesz: przed sześciu miesiącami zrobiłem testament. Muszę przecież pozostawić komuś swój majątek. Zapisałem go tobie. Wszystko: domy, kapitały, sklepy. Zrobiłem to prawnie, u notarjusza Backlera, Mayes podpisał się jako świadek. Nie zmienię teraz mej woli, nie pozostawię ani jednego szeląga synom Indagina, ani krewnym Julii, ale i ciebie ukarać potrafię. Mogę żyć jeszcze długo, lat trzydzieści, czterdzieści i patrzeć na nędzę twoją. Mąż twój zbankrutuje, będziesz żebraczką ty i dzieci twoje. Ja ci nie dopomogę i nikt wam nie pomoże. Nikt wiedzieć nawet nie będzie, że to wszystko ma być kiedyś twoje. Nikt ci nie uwierzy, chociażbyś o tem mówiła. I będziesz patrzała na nędzę i głód swoich dzieci, wiedząc, że kiedyś nad grobem, odziedziczysz wielki majątek. Teraz idź sobie.

»W godzinę potem opuściłam dom skąpca i nie widziałam go odtąd już nigdy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na ulicy.



— Litościwa osobo!..
— Głupi jesteś z jakąś osobą...
— Biedny jestem!.. Zima...
— Djabli was tam wiedzą — w lecie wam za gorąco, w zimie za zimno — nigdy wam nie można dogodzić...

Politycy.



— Co pan myśli o dymisji Dunajewskiego?..
— Ja panie jeszcze nic nie myślę... A pan?..
— Ja myślę, że nic nie myśleć, to jest teraz najlepiej myśleć...

W kuchni.



— Panna Marjanna w tym liście znajdzie wszystko i da mi odpowiedź!..
— No, ale nie tak prędko, bo wprzód muszę się nauczyć czytać...

Dlaczego nie jest żeńskiego rodzaju?



— Cóż ty w szlafroku — jeszcze nie ubrany?..
— Późno przyszedłem do domu...
— A gdzieś był — coś robił?..
— Miałem sesję...
— Jaką sesję?..
— Taką — ekonomiczną...
— Co wy dzisiaj z tą ekonomją wyrabiacie to strach... Chyba dlatego, że jest żeńskiego rodzaju...
— E, ona nie jest żeńskiego rodzaju, bo zaleca oszczędność..

Zima i Wisła *).

Odwiecznej Wisły zbożąspławne wody
Swojemi ścisnąwszy lody,
Pyszniła się sroga zima,
Że je w swoich więzach trzyma.
„Patrzcie — mówiła — patrzcie szumne wały,
„Coście w swej śmiesznej wolności bujały,
„W jakich jesteście okowach,
„Jako was każdy przechodzień
„Depcze i rąbie codzień
„I lada szuja jeździ wam po głowach.
„A wy co na to? — Ani drgnąć nie śmiecie.
„Tak to można zima włada,
„Tak to moje jarzmo gniecie“...
„Prawda, że jesteś silna i zażarta —
Tak jej z pod Tatrów na swej niwie wsparta
Stara Wisła odpowiada:
„Ale nie wszędy sięga twa potęga —
„Zawsze tam, zawsze pod tym twardym lodem
„Śmiały i wolny nurt mój płynie spodem.
„Tam twoja władza nie sięga.
„I niech no tylko moje słonko błyśnie,
„A wnet potęga lodów twoich pryśnie.
„Te nawet śniegi, któreś tu zuchwała
„W swojej przemocy przedemną nawiała,
„Same mi wówczas pomogą
„Skruszyć twoją przemoc srogą.
„Dmi więc — okrutna swymi akwilony —
„Sciskaj — krępuj brzeg ściśniony.
„Odwiecznej Wisły nie zatrzymasz w pędzie:
„Pójdziesz zkąd przyszłaś,
„Wisła Wisłą będzie!“

*) Jest to wiersz, przed laty napisany przez jenerała Morawskiego. Ówczesna cenzura warszawska puściła go nie dostrzegłszy politycznej aluzji — dopiero potem cofnęła go. Wiersz ten był niedawno deklamowany na jednym z koncertów we Lwowie. Dajemy go dla młodszego pokolenia, które go nie zna.
(Przyp. Red.)

Z Paryża.

(Z korespondencji Stanisława Ornowskiego).

Sprawa „Thermidora“ stała się przedmiotem interpelacji w izbie deputowanych. Reprezentacja kraju całego rozpoczęła debaty nad tym utworem scenicznym, jak przed tygodniem poświęciła się rozbiorowi „Elizy“ Goncourta. Tym razem poświęciła już izba całodzienne obrady tej kwestji. Jeżeli kraj nic na tych obradach nie zyskał, nie jego w tem wina, najciekawsza atoli, że i sama kwestja także nic nie zyskała i nie dowiedzieliśmy się, czy „Thermidor“ będzie, lub nie będzie grany.

Sala izby w Palais Bourbon była przepełniona podczas tej dysknsji. Rzecz godna uwagi, że w trybunie dyplomatycznej przez całą sesję siedział i słuchał uważnie debatów hr. Münster, ambasador niemiecki, otoczony sekretarzami.

Ale nie tutaj koniec z „Thermidorem“. To utrapienie dręczy nas bezustannie. Wszystko tutaj zaczyna być à la Thermidor. Wystawy sklepowe pełne są szkiców z epoki Robespierra pisma podają na wyścigi opisy ówczesnych wypadków; deputowany Laguerre nie znalazłszy możności wygadać się w izbie, wczoraj miał odczyt na bulwarze des Capucines o „Thermidorze“ Wiktoryna Sardou, który to Sardou nie nosi już imienia *Victorien*, ale *Thermidorien*, nareszcie jeden z drugorzędnych teatrów ogłasza wielkimi afiszami, że daje dziś po raz pierwszy z góry zakazaną sztukę p. t. „Fructidor ou la revue des évenements“ i t. d. Znalazł się autor, który w dwie doby wykończył i wyuczył aktorów grać utwór sceniczny, o sensacyjnym dla chwili bieżącej tytule. Szybko, ani słowa: byle skorzystać z chwili.

To wszystko jednak nic w porównaniu z ruchawkami ulicznemi. Do późnej nocy przeciągają ulicami gromady młodzieży, studentów przeważnie, wydając okrzyki na cześć Sardou i jego dzieła, manifestując niechęć dla rządu, że usunął z repertuaru „Thermidora“ i złorzecząc Robespierrowi i innym „buveurs de sang“. Jako objaw konserwatywny byłyby

te manifestacje bardzo dobremi, tem bardziej, że młodzież manifestuje gromadnie, tysiącami; niepodobna jednak zapomnieć, że wszelka młodzież obowiązana jest uczyć się, a nie demonstrować na ulicy swoje przekonania. I nie ma widocznie komu im to powiedzieć jasno i dobitnie, bo włóczyć się nie przestają, co gorsza zaś wychodzić poczynają z postawy biernej i poczynają demonstrować przy pomocy kijów i kastetów.

Telegramy doniosły już o zajściu w redakcji socjalistycznej „Egalité.“ Organ reczony, przez niektórych za prowokacyjny uważany, wystąpił w czwartkowym numerze, ze wściekłą zaprawdę napaścią, przeciw młodzieży akademickiej z powodu owacyj wyprawianych przez nią „Thermidorowi“, oraz przeciw robespierrowskich demonstracyj, przyczem obrócił też młodzież stosem epitetów w guście „fils des bourgeois“, canaille bourgeoise“, „pourris“, „anémiques“, „émaillotes“ i tak dalej.

W odpowiedzi na to, tegoż samego czwartku o 7. wieczorem akademicy wpadli do redakcji „Egalité“, obecnych redaktorów poturbowali i sprzęty redakcyjne zburzyli i poniszczyli, wołając:

— Vous êtes une bande des révolutionaires! Vous défendez les assassins!

Wejście policji położyło kres bezprawiu, ale opuszczając zburzony lokal redakcyjny, studenci zapowiedzieli, że powrócą w dniu następnym.

W dniu następnym, jednak przyjść nie mogli i awantur robić, bo policja wiedząc wcześnie o tem, zapobiegła i nie dopuściła do walki ulicznej. Ciekawy i interesujący jest manewr, jakiego policja francuzka używa, gdy w niegwałtowny sposób rozproszyć ma manifestujące tłumy.

Pan Stanisław Ornowski opisuje to tak: To jest manewr policji paryzkiej bardzo ciekawy, a przypomina pewną figurę kadryla, zwaną „szufladkami.“

Rzecz tak się ma. Tłum liczący około półtora tysiąca studentów, ciągnie od Luxemburga i wkracza na bulwar St. Michel. Naturalnie, tamuje cyrkulację. Policja grzecznie prosi, aby studenci zeszli na środek ulicy. Jeżeli nie usłuchają, a tego rodzaju głosu konstabla każdy usłuchać jest obowiązany, policja spycha opornych bez ceremonji. Wtedy na dany znak komunikacja kołowa na środku ulicy ustaje i konstable sformowawszy się w potrójne szeregi, trzymając się za ręce ramię przy ramieniu, wjeżdżają z najlepszą miną, „szufladkami“ w poprzek tłumu. To wszystko w mgnieniu oka.

Naturalnie, cóż się dzieje? To, że tłum liczący półtora tysiąca, został pocięty na kilka części oddzielonych od siebie potrójnymi szeregami, śmiejących się wesoło konstablów. Manifestującym pozostaje albo iść przebojem, albo wydobyć się z tej niewoli przyległemi przecznicami. Że zaś co innego jest bić na kwaśne jabłko redaktorów „Egalite“, a co innego bić się z policją, więc, oczywiście, młodzież ustępuje i niebawem wszystko znika w przyległych uliczkach, tłum jest rozproszony.

Ale jest hasło: n mostu! Tutaj wszyscy dążą uliczkami i niebawem całym już mostem St. Michel aż się roi, wszyscy się znaleźli. Ale tu „szufladki“ stoją gotowe już w poprzek mostu; pięć szeregów konstabli broni wejścia.

Nie ma rady. Studenci formują się i śpiewając na zabój „Conspuez *l'Egalite!*“ Pont-Neuf. Ale i tu ta sama historja W Pont des Arts to samo i wszędzie. Stało się. Nie pójdą do redakcji „Egalité“. Około szóstej zabierają się do odwrotu i przeciągają gromadkami do swoich restauracyj i kawiarni na obiad. Po obiedzie jeszcze promenady i śpiewy aż do nocy i na tem koniec.

Teatr.

Żona papy, 3-aktowy *wodewil* Meilhac'a i Halevego, a więc rodzaj gadającej operetki — ukazała się na lwowskiej scenie pierwszy raz w sobotę zeszłego tygodnia. Co prawda, nie ciekawa to żona, i nie ciekawy ten papa. Pierwsza gęś w drugim akcie pijana, drugi pospolity, podstarzały lowelas mający, nawet, za mały udział w tej robocie, aby był należycie komicznym, o co autorom chodziło. Cała rzecz, jest to, ni pies, ni wydra — za mało na operetkę, i za mało na dobry, wesoły wodewil w rodzaju tych, jak to dawniej, przed laty widywaliśmy na scenach, po większej części z francuzkiego tłomaczonych wodewilów. Być może, iż *Żona papy* grana przy udziale wybitniejszych sił operetkowych, wyszłaby żywiej, ale, że nie wieleby to jej pomogło — to także nie ulega wątpliwości, bo to rzecz w pomyśle słaba, w przeprowadzeniu nie dowcipna, a w zakończeniu idjotyczna. Siły operetkowe, o tyleby pomogły, że więcejby śpiewano, bo z udziałem samych sił dramatycznych, zaledwie parę numerów śpiewano — resztę opuszczono zupełnie. Co do gry samej, to nie ma, doprawdy, co o niej pisać — nawet ta żona, postać główna, którą grała panna Czaplińska, zaczęła od gąski, a skończyła na gęsi — figurka taka sobie niby operetkowa, niby coś, niby tego, a w rzeczywistości zlepiona z tego i owego. Panna Czaplińska grała dobrze — śpiewała, jak umiała... Drugą postacią, chociaż już znikła w trzecim akcie, był papa — grał ją z wyróżniającym się komizmem p. Feldman. Dalej idzie „uczony“ profesor, a tego grał wybornie p. Fiszer i on, właściwie, był na scenie bohaterem *Żony papy* — resztę ról takich sobie od niechcenia wystrzyżonych grali pp. Trapszo, Gasiński, Senowski, panie: Gostyńska, Piasecka i inni z pomocą chórzystek — bez, śpiewania tych ostatnich.

Występy gościnne w naszej operze pani Klamrzyńskiej, których w dalszym ciągu było kilka i to ostatnich, a między innymi Małgorzata w „Fauście“, jak i wszystkie poprzednie, cieszyły się ogromnem powodzeniem. Pani Klamrzyńska zdobyła sobie u lwowskiej publiczności niepodzielne uznanie. Śliczny głos, śliczna koloratura, śliczna gra — to są artystyczne cnoty śpiewaczki, a bezpretensjonalność i skromność — cechy właściwe niezwykłym talentom, dodają tej prawdziwej warszawiance uroku i pociągającego wdzięku.

Praktyczne i pouczające wiadomości.

Manna. Czasopismo paryzkie „Nature“, podaje w ostatnim numerze swoim list szefa centralnej apteki w Bagdadzie, który nadesłał jednocześnie próby substancji jadalnej, spadłej w postaci obfitego deszczu w okolicy Diar-Bekir, w Turcyi azjatyckiej. Deszcz pomieniony spadł na przestrzeni dziesięciu kilometrów kwadratowych. Mieszkańcy zbierali substancją pożywną, spadającą wraz z deszczem i napiekli z niej chleba znaczną ilość. Chleb jest biały, mączysty, smaczny, posilny i dający się z łatwością trawić.

Wino brzozowe. Wino z soku brzozowego wielce jest cenionem na wschodzie Rosji; znalazło także upowszechnienie i w Górach Olbrzymich Ślązka i w innych okolicach Niemiec. Polak zaś, któremu Bóg dał wszystko, używa tylko najgorszego trunku. My moglibyśmy mieć miód i nasze wino, jabłecznik, gruszecznik, śliwowicę, agrestnik itd. Mamy przeróżne jagody, maliny, porzeczki. Z nich gdzieindziej robią wyskoki, za które u nas drogo potem płacą, gdy ich potrzebujemy. To wszystko mogłoby zastąpić powszechną u nas, a tak obrzydliwą gorzałkę.

Poniżej podajemy sposób wyrabiania wina z soku brzozowego. Książek, w których podobne, u nas już prawie zapomniane sposoby były podawane, lud mało kupuje, gazeta zaś niezbędna dla każdego, przypomni niejednemu to, co zapomniał, lub pouczy o tem, o czem jeszcze dotychczas nie wiedział.

W końcu marca, albo na początku kwietnia, gdy mróz z ziemi ustąpił, a brzozy jeszcze się liściem nie pokryły, wierci się na południowej stronie drzewa małym świderkiem dziurę ukośnie na 5—6 centymetrów długą. Wsadza się w tę dziurę rurkę z pióra gęsiego, lub trzciny i podstawia flaszkę. Z wielkiego zdrowego drzewa można mieć 10—12 litrów soku w 21 godzinach. Potem wbija się w dziurę kołeczek z suchego twardego drzewa i zalepia to wszystko maścią drzewną. Z trzech, lub czterech wielkich drzew otrzymujemy w ten sposób 30—34 litrów soku brzozowego. Sok ten wlewa się w cynkowany, lub bielony kocioł, albo garnek, dodawszy do niego 10 funtów cukru i wygotuje do czwartej części z wody, żeby zostało tylko około 24 litrów. Potem przecedza się przez czyste płótno i po ostygnięciu wlewa się do sądeczka na 20 litrów. Podczas gotowania trzeba zbierać szumowiny. W sądeczek dodaje się 4 łyżki ciepłych drodzy z piwa, żeby sok zaczął fermentować. Potem dodaje się kilka cytryn bez łupiny i w miarę jak soku przez musowanie ubywa, dolewa się czystego soku do sądka. Gdy fermentowanie się skończyło, zatyka się sądek szpuntu i ustawia w piwnicy na cztery tygodnie.

Jeżeli się chce mieć wino musujące, dodaje się do sądka ćwierć funta kwasu kamienia winnego, jeszcze z 10 funtów utłuczonego cukru i kto chce, trochę mleka migdałowego.

Przeciwko karaluchom. Robactwo, które lęże się w naszych kuchniach i niesłychanie jest mnożnem, nazywamy zwykle szwabami — jest to wyraz nieco przekręcony z niemieckiego „Küchen Schwaben“. Niemcy nazywają je także „Russen,“ a Moskale nazywają je „Prusakami.“ Przeciwko tym karaluchom bierze się z dobrym skutkiem proszku perskiego z domieszką boraksu i zapomocą gumowej rozpruchniaczki, we wszystkie się wdmuchuje szpary; można także użyć boraksu ze syropem i mąką, ugnieść na ciasto i w drobnych kawałeczkach rozsypać na noc po kuchni i około szpar, przytem wszelkie dziury i szpary należy dobrze pozalepiać. Proszku arszenikowego z cukrem nie należy używać w kuchni, dla tego, że niebezpieczny.

Przezimowanie warzywa. Skuteczne przezimowanie warzywa wiele zależy od tego, jak się sprzątnęło warzywo i od doboru miejsc, czy to kopców, dołów, czy piwnic, co wpływa wielce na przechowanie wawrzywa. Wiadoma to rzecz, że warzywa przez czas przezimowania wydzielają ze siebie wodę i napełniają powietrze wilgocią. Wilgoć zaś wywołuje grzybki śniedzi, przez co zwykle bardzo wiele liści gnije. Piwnice należy zatem dobrze przewietrzać w dniach pogodnych. Przed schowaniem warzywa do piwnicy, trzeba tę należycie oczyścić i wykadzić siarką. — Sprzęt warzywa należy przedsiębrać przy pięknej suchej pogodzie, a wszystko powinno przed schowaniem go do piwnicy należycie obeschnąć. W piwnicy należy wszystko warzywo przesypać suchym piaskiem. Gdy pomimo to niektóre sztuki się psują, to nie ma innej rady, jak je wybrać, by nie zaraziły innego warzywa.

Wybornym i nader skutecznym środkiem na oparzenie ma być przecięty wzdłuż liść aloesu (aloe perfoliato v. succotrino), przyłożony na miejsce oparzone. Ból natychmiast ustaje, a rana z oparzenia nader szybko się goi. Skutek tego środka ma być zadziwiający, prawie cudowny.

Domy z trocin. Jak donosi jedno z fachowych pism berlińskich, najnowszym wynalazkiem techników są domy z trocin. Rozległe na tem polu odbywają się doświadczenia i próby w technicznej wyższej szkole w Charlottenburgu. Trociny, które zwłaszcza w niektórych zakładach trackich uważane były dotąd jako odpadek, przyczyniający tylko ciężaru, mają być obecnie mięszane z tanimi, sproszkowanymi kamieniami i ugniatane w formę cegieł, lub ciosu pod ciśnieniem $1^1/_2$ miliona kilogramów. Tak przyrządzone trociny stanowią materjał budowlany, niedostępny zupełnie wilgoci, niezmiernie wytrzymały, a dość lekki. Nie ulega również zmianom powietrza, przytem odporność jego w razie pożaru jest zupełna. Podczas jednej z prób, poddano odłam nowego materjału przez czas pięciu godzin silnemu działaniu ognia z węgli, przyczem nie uległ najmniejszej zmianie. Zaletą jego jest, oprócz powyżej wymienionych i to, że z łatwością daje się obrabiać piłą i napuszczać farbami, co dla ozdobności czyni go niezwykle cennym.

Doniesienia różne publiczne i prywatne.

Odezwa. Gmina Wicyń, w powiecie złoczowskim, kolonja mazurska, założona przez Jakóba Sobieskiego, po wyrżnięciu dawnej osady przez Tatarów, składała się początkowo z dwudziestu kilku numerów — z biegiem czasu jednak doszła do poważnej liczby 160 numerów i składa się z samej ludności obrządku rzymsko-katolickiego. Cechy swojej narodo-

wości i język polski zachował ten lud do dnia dzisiejszego. Do roku 1888 nie miała ta gmina swego kościółka i należała do parafji w Dunajowie o 1 milę od Wicynia odległej — ta odległość do kościoła była przyczyną, że szczególnie dziatwa bardzo mało korzystała z nauk religijnych i jak z jednej strony wicyniacy celują w powiecie oświatą, tak z drugiej strony pod względem moralności dużo pozostawiali do życzenia. W roku 1888 postanowili ludzie lepiej myślący w gminie wybudować własny kościołek, przeważnie w tym celu, iżby młodzież mogła korzystać z nauk religijnych i żeby w ten sposób podnieść moralność w gminie. Częścią własnymi funduszami, częścią ofiarnością pobożnych chrześcijan, kościołek w przeciągu roku zbudowano i rok właśnie upływa, kiedy w kościołku wicyńskim odezwał się po raz pierwszy dzwon, wzywający ludność na modlitwę we własnym kościele, — od tego czasu również utrzymuje gmina wspólnie z dworem kapelana przy swoim kościołku. — Błogie skutki tego przedsięwzięcia gminy już dziś są widoczne, dziatwa gromadzi się chętnie na naukę do kościoła, udzielaną jej przez czcigodnego kapelana ks. Domaradzkiego, byłego proboszcza w gubernji litewskiej i da Bóg za lada rok podniesie się gmina z upadku moralnego, w który wpadła z powodu znacznego oddalenia od parafji. Na kosciele tym, kosztującym 8 tysięcy złr. ciąży jeszcze dwa tysiące długu, a oprócz jednego ołtarza, nie ma nic z wewnętrznego urządzenia, — by temu zaradzić, udała się gmina do prezydjum c. k. namiestnictwa z prośbą o pozwolenie na zbieranie dobrowolnych datków i pozwolenie to reskryptem Wys. c. k. namiestnictwa z dnia 10 grudnia 1890 l. 12649 otrzymała.

Komitet zajmujący się budową, rozsyła dziś swoich kolektantów do siedmiu powiatów i miasta Lwowa, — ośmielamy się przeto tą drogą polecić ofiarności Szanownej P. T. publiczności, by na cel tak szlachetny, nie skąpiła choćby najskromniejszych datków, gdyż tylko przy pomocy ofiarności publicznej będziemy w stanie doprowadzić do skutku przedsięwzięte dzieło. Wicyń dnia 4 lutego. *Mirosław Eder*, przewodniczący komitetu. *Jan Csak*, naczelnik gminy.

Wszystkie redakcje upraszamy o łaskawe powtórzenie niniejszej odezwy.

Grono przyjaciół p. dra Blocha nadesłało następujące pismo:

„Pan dr. Bloch spełniał sumiennie swoje obowiązki poselskie, należał do Koła Polskiego w Radzie Państwa i wśród współwyznawców swych szerzył zawsze miłość dla społeczeństwa polskiego i ziemi polskiej, na której żydzi żyją i pracują. Dr. Bloch włada językiem polskim i zna stosunki krajowe, mając przytem poważanie, i mir u izraelitów — jako więc poseł do Rady Państwa, którym był już przez lat sześć z okręgu Kołomyja — Buczacz — Śniatyn — byłby najodpowiedniejszym, bo tak chrześcijanie, jak i żydzi wiedzą już, z kim mają do czynienia“.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Wbny ks. Kozłowski w Manistee (Ameryka). Prenumerata Wbnego księdza dobr., jak to już zawiadomiliśmy osobno, zapłacona jest do dnia 1. lipca b. r.

Pan Łuczak w Chicago (Ameryka). Dwa dollary otrzymalismy — prenumerata zapłacona teraz do dnia 1 kwietnia b. r.

Pan Izydor Z. we Lwowie. Z siedmiu nadesłanych różnych utworów wierszowanych, żaden nie może być drukowany. Ciekawa też rzecz, zkąd się wziął u pana zaporożec grający na gitarze?..

Wbny Ks. Szukalski w Beaves-Dam (Ameryka). Dwa dollary otrzymaliśmy — prenumerata obecnie zapłacona do 31. Grudnia 1890 r.

Pan K. w Paryżu. W taką „politykę“ nie wdajemy się.

Pan C. w Kołomyi. Niech pan lepiej co innego robi, bo już mniejsza, że pan pisze, ale po co my mamy to czytać — za karę, czy co?...

Pan L. R. w Krakowie. Wszystko to być może, ale to... nic nie pomoże...

Nadesłane.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.

Illustracje odbite w litografji A. Przyszlaka we Lwowie, ulica Kopernika l. 9.

Lwów — 1891.

Dodatek nadzwyczajny do Nru 5. „Gońca i Iskry.“

Teatr.

Tola „sztuka“ w 3. aktach Aurelego Urbańskiego, przedstawiona została po raz pierwszy na lwowskiej scenie d. 3 stycznia br. Mamy do czynienia z pracą napisaną z talentem, a więc ułatwia to już w wysokim stopniu zadanie każdemu krytykowi. Kobieta, a raczej dziewczyna wyrwana z upadłej rodziny, w której nie było uczciwej matki, lecz znikczemniała samica, nie dostrojona duszą i umysłem do męża, który ją, właśnie, z błota wyniósł, nudzi się w uczciwej i wykształconej rodzinie, ucieka z niej zostawiając dziecko i męża stając się kurtyzaną przechodzącą z ręki do ręki. Mąż sławny artysta, wykoleił się i poszedł w świat. Żona na utrzymaniu u „jaśnie pana“; zdążyła już kilka razy zmienić „przyjaciela“ i właśnie zabiera się do skarotowania starego i bogatego nafciarza, gdy zjawia się mąż i po wyrzutach, oszołomiony, nieprzytomny, nalewa truciznę do szampana, wlewa ją przemocą w usta upadłej żony i truje ją — sam popadając w obłąkanie..

Taka jest główna treść *Toli*, w której, zresztą tak nazwana bajka dramatyczna, bardzo podrzędną odgrywa rolę, gdyż główną rzeczą jest tendencja. O to, czy w naszem społeczeństwie znajdują się takie kobiety, jak Tola, czy, choćby były pojedyńcze, oderwane takie postacie, ogólny poziom moralności rodzinnej u dołu, w środku i u góry społeczeństwa, posiada grunt z którego podobnego rodzaju typy niewieście wyrastają — sprzeczać się z autorem nie będziemy, bo to jest rzecz twórczości i szerszych ludzkościowych poglądów, którymi wolno obejmować świat cały i przedstawiać moralną, społeczną fizjonomię ludzi bez względu jakim oni mówią językiem Nam się zdaje, jesteśmy nawet tego przekonania, że cynizm, zepsucie mężczyzn, obniżenie się poziomu cnót obywatelskich i społecznego zdrowia przeważnie zawdzięczać należy zboczeniom, czy jak tam nazwać, umysłu i serca kobiet, które pomimo dowcipu, sprytu i powabów, kierują się w życiu po większej części dosyć poziomymi a nie rzadko, niskimi instynktami. Taka też jest Tola i, jeżeli autor chciał przez nią powiedzieć to, cośmy wyżej powiedzieli — według naszego zdania, miał słuszność.. Mybyśmy nawet dalej poszli, a chociaż z pięknych rąk wypadłby może nie jeden kamyczek, nie wahamy się powiedzieć że tak, jak dziś przynajmniej jest, to pod względem moralnym, społecznym i obywatelskim, stawiamy nasze kobiety na stanowisku zanadto uprzywilejowanem..

Ale wracajmy do *Toli*. Ta najnowsza praca Urbańskiego, pod względem literackiej wartości wśród licznego szeregu dzieł jego, zajmie jedno z najwybitniejszych miejsc — jest to utwór, rzeczywiście, niepospolitego talentu pisarskiego, w którym odczuwa się głębszą myśl, szerszy pogląd, grunt podstawowy idealistyczny, choć często ugarnirowany w sceny życia opracowane z drobiazgowym realizmem... Te sceny realistyczne w *Toli* kąpiące się nie raz w zalatującem naturalizmem błocie, sprawiają, istotnie, czasem przygnębiające wrażenie, ale są prawdziwe — jest to obyczajowa fotografja, nawet koloryzowana... To trudno, jak jest w życiu, tak musi być na papierze, o ile może być...

Sama budowa „sztuki“ z wyjątkiem niepotrzebnych scen literackiego romansu z tą panną Weroniką, jest prowadzona z antorską wprawą i z artyzmem tak dalece, że nawet epizodyczne sceny, służące do wyjaśnienia różnych sytuacyj i charakterów, połączone są z całością zręcznie i nie błąkają się samopas.

Główną, tytułową rolę grała pani Kwiecińska. Śliczna Tola, znalazła uosobienie w nadobnej artystce, a talent, artystyczna intuicja, miara, również artystyczna w scenach drażliwych — zrobiły to, co do nich należało i Tola w grze pani Kwiecińskiej, wyszła znakomicie.

Nieszczęśliwym mężem był pan Woleński Jak się nbrał biedny Kwiryn, muzyk, w pierwszym akcie w surdut, pantalony i krawat, tak został w tem samem ubraniu aż do czasu, gdy już mu żona uciekła i pozostawiła córkę... Biedny muzykancisko — może spał w ubraniu... W ostatnim, jednak, akcie Kwiryn miał już inny surdut, ale pantalony pozostawił sobie te same — widocznie na pamiątkę... Ton płaczliwy w grze p. Woleńskiego dominował. Przewyborną Czuczyłową była pani Gostyńska, a pyszną eksbaletnicą pani German. Mniejsze role literata i Weroniki, odegrali pani Cichocka i pan Chmieliński bardzo starannie. Wśród kilku epizodycznych ról, wyróżnił się, naturalnie p. Fiszer, którego baron-żyd, aczkolwiek w jedynej scenie, utkwił w pamięci typem. Inne role epizodyczne pod względem starannej gry nic nie miały do zarzucenia, a grane były przez pp. Hierowskiego, Trapszę, Szoberta, Dębickiego Piaseckiego, Milewskiego, pannę Czechowiczównę i innych. Pan Walewski grał dosyć dużą rolę syna Czuczyłowej, nakreślonej przez autora realistycznie i z tego powodu niepotrzebnie aż do wstrętu aktor szarżował. Poplamione inekspirmable, w których p. W. odbywał na scenie naturalistyczną paradę, chyba tak bystrej znowu inwencji charakteryzowania się nie dowodzą...

Autor, widocznie, trafił do przekonania licznie zebranej w teatrze publiczności, bo po każdym akcie kilkakrotnie go przywoływała i obdarzała hucznymi oklaskami.

Wampiry.

Ciekawa notatka zoologiczna.

Parę tygodni temu, umieszczona była w warszawskim „Wieku“ wiadomość o zaszłem w okolicach Chicago zdarzeniu, w którem siedmnastoletnia dziewczyna, zasnąwszy znużona pod drzewem, uśmiercona została przez wampira, który wszystką krew z niej wyssał.

Wypadek ten, nie jest wyjątkowym. Na wyspach oceanów: Indyjskiego i Spokojnego zwłaszcza, olbrzymie nietoperze dochodzą nadzwyczajnych wymiarów i stają się dla człowieka niebezpiecznymi. To skrzydlate zwierzę ssące, potwór legendowy zamarłych wieków, zdaje się być zmorą raczej, niż istotą żywą.

Ohydne skrzydła potworu, które malarze średniowieczni skojarzyli z postacią szatana, dochodzą niekiedy pięciu stóp długości, i gdy je wampir rozwinie, staje się naprawdę widmem, straszydłem. Atmosfera, w której zatacza kręgi, staje się zapowietrzoną, kwiat, który muśnie w przelocie, zwiędnie, owoc, którego dotknie, zgnilizna strawi..

Owe olbrzymie nietoperze z bajeczną odwagą i okrucieństwem rzucają się na bydło. W pomroce nocnej nietoperz spada na swoją ofiarę, nacina jej skórę i łaskocząc ją skrzydłami, wypija z niej krwi tyle, ile objąć może, poczem odleciawszy na stronę, wypitą krew zrzuca i z nową zaciekłością przypada do ofiary, powtarzając to dopóty, aż wszystką krew co do kropli wysączy. Istny upiór.

Jedna rzecz ubezwładnia wampira: światło. Jedna rzecz go przeraża: słońce. Kocha się w cieniach nocnych, w tajemniczych podziemiach, w jaskiniach głębokich, kędy promień światła nie dobiegnie. Tutaj zbiegają się potwory i uczepiwszy się szponami sklepienia, z głowami na dół zwieszonemi, spędzają dnie całe rozespane, lub krążą w powietrznej ciemnicy.

Wampiry śpią w postawie zwieszonej głową na dół, otulone skrzydłami, niby płaszczami. Wisi ich tak przy sobie nieraz po paręset i więcej i stanowią widok dziwnie wstrętny, ohydny.

Wampir śpi tak mocno, że zabić go można zanim się obudzi; uczepiony zaś jest szponami tak silnie, iż, aby go dostać, trzeba go odkroić, odciąć; szponów jego skurczonych żadna siła nie odejmie i nie odczepi od skały.

Kiedy noc zapada, posępne sklepienie jaskini poczyna się budzić jakoby; płaszcze rozwijają się, szpony się rozluźniają, włochate uszy poczynają nadsłuchiwać i niebawem wampiry zbierają się do lotu. Po chwili zataczają już kręgi ponad usypiającą powoli ziemią, przesyłając jej na dobranoc jęki niekiedy do ludzkich podobne.

Czy kto uwierzy? Te obmierzłe potwory posiadają podobno najwięcej kokieterji z całego stworzenia. Wszystek czas wolny od snu i picia krwi, wampir poświęca swej toalecie. Nadewszystko dba o głowę, na której utrzymuje najtroskliwiej równy pośrodku przedział przy pomocy szpona tylnej nogi, taksamo, jak to czynią, w ogóle, nietoperze.

Kiedy wampir uśmiercił jakie stworzenie i krwią jego się napoił, nigdy nie zaniedbuje „poprawić sobie włosy...“

Jak wszystko w przyrodzie, tak i wampiry otaczają najczulszą opieką swe dzieci. Niezmiernie charakterystyczny jest sposób, w jaki samica je karmi. Uczepiwszy się szponami sklepienia, z głową na dół zwieszoną i otuliwszy skrzydłami swe potomstwo, które się jej wymion uczepiło, buja się nietoperzyca w powietrzu, kołysząc temsamem i ssące ją nietoperzątka.

Nietoperze naszych, europejskich klimatów, toczą, jak wiadomo, zaciekłą walkę z owadami nocnymi, które inaczej rozmnażając się bezmiernie, mogłyby stać się plagą i klęską naszą. Dobroczynne to zwierzątko, w niektórych okolicach Europy, nosi też miano jaskółki nocnej. Ale i owe potworne wampiry tępią masami szkodliwe owady, które plenią się nocą na odległym wschodzie. Wampir oczyszcza z nich atmosferę tak samo, jak gady i płazy oczyszczają ba-

gniska, szakal puszczę ziejącą gorączkami, a sęp skaliste ostępy.

Pomimo szatańskiej swej powierzchowności, pomimo krwiożerczości swej i okropnej, nieznośnej woni, jaką z siebie wydaje, wampir jest pracownikiem przyrody wielkim i bardzo pożytecznym.

To widmo ohydne, ten potwór ze szponami stalowemi, jest stróżem i opiekunem, zmiatającym z oceanowego podniebia wszystkie stworzenia, któreby je zatrzeć mogły. Pożytek równoważy i przewyższa krzywdę, jakiej chwilami staje się przyczyną.

Pogawędki hygieniczne.

Po suchotach płucnych, najczęstszą chorobą dotykającą ludzi w wieku dorastania, jest tyfus. Wprawdzie często, a może nawet częściej, spotykamy go u dorosłych, pomimo to pomówimy o nim w tem miejscu, a to skutkiem tego, że jest chorobą, która niekiedy pozostawia ujemny wpływ na całe życie, i że dotknięte nią młode organizmy wymagają nadzwyczajnej pieczołowitości, która stanowi podstawę pomyślnego zejścia choroby. Można powiedzieć, że przy leczeniu tyfusu, prócz środków leczniczych, niezbędną jest swoistego rodzaju hygiena, tem więcej, że nie posiadamy przeciwko niemu specyficznego środka leczniczego.

Wyróżniamy dwa główne typy tyfusu: wysypkowy i brzuszny.

Tyfus wysypkowy, jest jedną z najbardziej zaraźliwych chorób. Niepodobna dziś już wątpić, że zarazek należy do rodzaju bakteryj; że jest to lasecznik, który znajduje się w powietrzu wydechanem przez chorych, w ich odzieniu, bieliźnie, pościeli i innych przedmiotach i dlatego pielęgnowanie chorych przedstawia daleko większe niebezpieczeństwo dla otoczenia, aniżeli doglądanie dotkniętych tyfusem brzusznym, którego zarodek mieści się prawie wyłącznie w wydzielinach. Zarazek tyfusu brzusznego bywa także przenoszony przez osoby trzecie, które same chorobie mogą niepodlegać.

Dziś epidemje tyfusu wysypkowego wydarzają się znacznie rzadziej, niż dawniej, i nie przybierają już takich rozmiarów.

W ogólności najczęściej spotykamy się z nim w miejscewościach, gdzie nagromadza się na jednem miejscu znaczniejsza ilość ludzi, a więc na okrętach, w koszarach, więzieniach i t. p. W takich warunkach zarażenie się jest wielce ułatwionem.

Sporadycznie pojawia się rzadziej aniżeli tyfus brzuszny, posiada z nim bardzo wiele cech wspólnych, zarówno co do przebiegu choroby, jak i leczenia, dlatego zajmiemy się obszerniej tą drugą formą; przyczem, jednakże, nadmienić należy, że są to dwie choroby zupełnie odmienne, zależne od swoistych zarazków. Charakterystycznym objawem tyfusu brzusznego jest tworzenie się w kiszkach wrzodów, czego u dotkniętych tyfusem wysypkowym nie spotykamy.

Przed pojawieniem się właściwych objawów choroby zauważyć zawsze można pewnego rodzaju objawy, po których odróżnić mozna tyfus od innych chorób gorączkowych pojawiających się nagle.

Do takich należą: silny ból głowy, bezsenność, utrata apetytu, zaburzenia w trawieniu, krwawienie nosa, łamanie w członkach. Za początek właściwej choroby uważać można chwilę, gdy wśród wyżej wymienionych przypadłości, pojawi się dreszcz, a bezpośrednio po nim silna gorączka.

Podczas pierwszego tygodnia choroby osłabienie dosięga wysokiego stopnia. Ból głowy i w członkach zwykle się powiększa, sen bywa niespokojny, chorzy śpiąc wymawiają wyrazy bez związku. We dnie są zazwyczaj w tym czasie zupełnie przytomni, jednakże znacznie mniej wrażliwi na bodźce zewnętrzne.

Język na środku bywa czerwony, wilgotny jeszcze, ale znacznie mniej, niż u ludzi zdrowych, po bokach zaś białawy, z odciśnięciami zębów, podsychający. Dołek sercowy i brzuch, przy naciskaniu, są bolesne, a skóra w tych miejscach pokrywa się nielicznemi plamkami czerwonemi, wielkości soczewicy, nieco wystającemi na powierzchnię skóry. Temperatura ciała wieczorna zazwyczaj przewyższa ranną o jeden stopień, i tak, gdy wieczorem mamy 40·5° C., rano termometer wskazuje tylko 39 5° C. W tyfusie wysypkowym wysypka jest znacznie obfitszą i pokrywa całą skórę, temperatura jest jeszcze wyższą.

W drugim tygodniu trwania choroby chorzy stają się apatyczni, nie skarżą się na ból głowy, twarz ich przybiera wyraz głupowaty, znajdują się jakby w stanie odurzenia, a często utracają przytomność prawie w zupełności. Język staje się suchy, prawie czarny, pomimo to chorzy nie skarżą się na pragnienie i nie żądają napoju. Niektórzy znajdują się w silnem podrażnieniu, zrywają się z łóżka. Biegunka zwiększa się stopniowo, a wraz z nią i osłabienie. Policzki przybierają barwę sinawą, otwory nosowe wyglądają, jakby okopcone.

W trzecim tygodniu wycieńczenie dochodzi do tak wysokiego stopnia, że chorzy nie są w stanie poruszyć się na łóżku, na łopatkach, a głównie na biodrach, tworzą się odleżyny, szerzące zniszczenie tkanek zarówno w szerz, jak i w głąb. W tym czasie przypada największa ilość zajść śmiertelnych, albo też wszystkie objawy zaczynają słabnąć, a przedewszystkiem gorączka zmniejsza się i chorzy powoli wstępują w rekonwalescencję.

Oto główniejsze objawy tyfusu, chociaż bywają pod tym względem liczne zboczenia; powiemy tylko, że czasami przebieg bywa tak łagodny, że chorzy przez cały czas jego trwania chodzą i nawet zajmują się zwykłą pracą. Jest to tak nazwany tyfus ambulatoryjny. Kiedyindziej znowu dosięga takiego natężenia, że chorzy już po kilku dniach umierają.

Z pewnością nikt sam nie podejmuje się leczenia tyfusu, jest to choroba wymagająca bezustannej obserwacji ze strony lekarza, z drugiej, jednakże, strony pomoc opiekujących się jest również niezbędna, zarządzenie drobiazgowego starania, wymaganego przez hygienę tak doniosłem, że powrót do zdrowia chorego, może bardziej jeszcze od nich zależy, aniżeli od leków. Dlatego też postanowiliśmy przytoczyć sposób postępowania z tyfusowemi według klasycznego przepisu Dra Feliksa Niemeyer'a.

Chorych na tyfus należy zupełnie odosobnić od zdrowych; jedynie te osoby powinny przy nich pozostawać, które są niezbędne do pielęgnowania. Najwłaściwiej jest usuwać z mieszkania wszystkie indywidua zdrowe, albowiem wydarzało się niejednokrotnie, że skutkiem zarażenia się, całe rodziny zapadały na tę ciężką i niebezpieczną chorobę. — Niezmiernej doniosłości jest niszczenie odchodków chorych, które zawierają w sobie zarazek.

Bardzo wiele mówi się o przerwaniu tyfusu. Otóż, jeżeli niepodobna zawsze uniknąć tego w ścisłem znaczeniu słowa, to bez wątpienia udaje się odpowiedniem postępowaniem złagodzić przebieg. Najniewłaściwiej postępują ci, którzy chodzą do ostatniej chwili. Z chwilą wystąpienia objawów, należy bezwarunkowo zaprzestać zwykłych zajęć, zachowywać dyetę i strzedz się zaziębienia. Wprawdzie, tyle zachwalane środki wymiotów i puszczanie krwi, stosowane dawniej, nie przynoszą najczęściej zamierzonego rezultatu, za to, bez kwestji, zażycie wielkich dawek kalomelu wywiera zawsze dodatni wpływ na przebieg choroby, a nawet niekiedy może ją przerwać.

Głównem zadaniem leczniczem jest usuwanie wszystkiego, co mogłoby na chorego wywrzeć szkodliwy wpływ, zwalczać groźne objawy i wreszcie podtrzymywać siły środkami dyetycznymi. Trzeba zatem zapewnić chorym świeże i czyste powietrze, przyczem nadmieniamy, że nie zaziębiają się oni tak łatwo, jak publiczność powszechnie sądzi. Temperatura w pokoju powinna wynosić 12 do 14° R., a regulować ją należy według termometru. Sądzą również, że naczynie z wodą postawione pod łóżkiem zapobiega tworzeniu się odleżyn. Rozumie się, że tej własności nie posiada, lecz w każdym razie postępowanie podobne nie jest bez korzyści, chociażby dlatego, że utrzymuje w powietrzu pewien stopień wilgotności. Zwrócić należy baczną uwagę na posłanie łóżka. Chorych należy okrywać kołdrą niezbyt ciężką, a na prześcieradle unikać tworzenia się fałdów. Bieliznę i powleczenie pościeli trzeba często zmieniać.

Czystość przestrzegać należy, jak najskrupulatniej, nie zwracając uwagi na przesądy, które opiewają, że skutkiem podobnego postępowania można choremu zaszkodzić. — Zaniedbanie w tym względzie spowodowywa przekrwienia, stanowiące początek odleżyn, które w późniejszym przebiegu tej choroby sprawiają pacjentom bardzo wiele przykrości. Gdy chorzy są do tego stopnia osłabieni, że nie mogą sami oczyścić ust, należy płatkami cienkiego płótna, zwilżonemi w wodzie sodowej, uskuteczniać to parę razy dziennie. Najlepszym napojem jest czysta woda studzienna, albo sodowa. W razie silnej biegunki dawać należy za napój kleik owsiany, albo jęczmienny. Wszelkiego rodzaju dodatki, jak: syropy, orszada, prędko przykrzą się chorym. Bardzo często chorzy przez cały przebieg choroby nie żądają napoju, dzieje się to tylko jedynie dlatego, że nie doznają pragnienia, dozorujący, jednakże, powinni często, a w małych ilościach dawać napoje.

Obszernie rozbierano kwestję: czy chorym dawać pokarm, czy też ograniczać ich do absolutnej dyety? Lekarze francuzcy i niemieccy, a także większość naszych, uważają karmienie gorączkujących mocnym rosołem i jajkami za szkodliwe, angielscy zaś są przeciwnego zdania, utrzymując, że tego rodzaju postępowaniem, wystawiamy po prostu chorego na śmierć głodową, twierdzą nawet, że dlatego, właśnie, śmiertelność w tyfusie u ich pacjentów nie jest tak wielką, jak gdzieindziej. Prawda jest pośrodku. Nie ulega wątpliwości, że chorzy tyfusowi utracają, skutkiem wysokiej gorączki, bardzo wiele sił żywotnych, za dowód czego służyć może szybkie schudnienie i utrata wagi. Lecz z drugiej strony przyjmowanie pokar-

mów pożywnych jedynie o tyle może przynieść im korzyść, o ile zostaną przyswojone, w przeciwnym razie, rozkładając się w przewodzie pokarmowym wyrządzają szkodę. Dlatego też odżywiać można tylko takich tyfusowych, którzy przyjęty pokarm strawią, t. j. że karmienie nie wywoła u nich pogorszenia w stanie organów trawienia. Ponieważ ocenianie tego jest wcale niełatwem zadaniem, z tego względu najwłaściwiej ograniczyć się do mleka i mocnego rosołu, dawanych często, a w małych ilościah na raz.

Chorym tyfusowym grozi zawsze niebezpieczeństwo spowodowane natężeniem gorączki, na szczęście posiadamy znaczną ilość i to prawie pewnych środków zarówno hygienicznych, jak i lekarskich, wpływających na jej uśmierzenie.

Do pierwszych należą obmywania letnią wodą z dodatkiem octu i letnie kąpiele, do drugich chinina i antifibryna, które stosowane być winny jedynie pod kontrolą lekarza.

Obmywania uskuteczniać należy co parę godzin, chroniąc przytem chorego od możliwego przeziębienia. Co do kąpieli, to zazwyczaj temperatura wody niższą być powinna o 5 stopni od temperatury ciała, a dopiero, gdy chory znajduje się w wannie dolewa się po trochu zimnej wody aż do obniżenia jej ciepłoty do 20°. Dziś kąpiele te stosują coraz rzadziej, wystarczają, bowiem, najzupełniej letnie obmywania całego ciała i zażywanie antifibryny, która zniża temperaturę o parę stopni na kilka godzin, a co dla chorych stanowi wielką wygranę. Powtarzamy, jednakże, raz jeszcze, że bez przepisu lekarza, nikt nie powinien się nią posługiwać.

Powracamy jeszcze do odleżyn, które stanowią miejscową zgorzel wywołaną utrudnionem krążeniem krwi z powodu ucisku tkanek przez pościel. Jest to nadzwyczaj nieprzyjemne powikłanie, które sprawia chorym nieznośny ból, zagojenie przeciąga się, po zupełnem ukończeniu choroby, na czas dłuższy, czasami zaś, skutkiem zakażenia krwi stać się może przyczyną śmierci.

Dlatego też baczną zwrócić należy uwagę, aby się nie rozwinęły. Najprzód więc dobrze jest pod te miejsca któremi ciało opiera się o materac, podkładać poduszkę kauczukową wypełnioną powietrzem, dalej trzeba, o ile to jest możliwem, układać chorych przynajmniej na pewien przeciąg czasu na bok, wreszcie prócz obmywań, o których wyżej mówiliśmy, należy zagrożone miejsca codziennie nacierać spirytusem kamforowym, albo sokiem cytrynowym.

Bardzo wielu chorych ulega tak silnemu osłabieniu, które manifestuje się zmniejszeniem pulsu i oddychania, że uciekać się należy do środków sztucznie podbudzających, a z nich najlepszym jest mocne wino, a więc Madera, Portwein, które daje się po małym kieliszku, co parę godzin.

Główne zadanie, jednakże, opiekunów chorego rozpoczyna się w chwili wstąpienia w rekonwalescencję.

Zazwyczaj po przebytym tyfusie chorzy miewają wilczy apetyt, tak, że przychodzi używać całej energji, aby ich powstrzymać od nadużyć w dyjecie. Liczba chorych umierających z tego powodu, jest bardzo znaczną. W ogólności, trzymać się należy sasady: jadać często, a mało. Spożycie niestrawnych rzeczy spowodować może z łatwością przedziurawienie kiszek, co zawsze za sobą pociąga śmiertelne zajście.

W pierwszych dniach tedy ograniczyć się jeszcze należy do buljonu z kaszką, jajek na miękko, kawałka bułki i niewielkiej ilości wina. Następnie można dawać kawałek siekanego białego mięsa, np. z kurczęcia, bacząc, aby dokładnie zostało ugotowane, lub upieczone, do tego trochę kompotu z jabłek *(purée)*. Gdy pokarmy te są dobrze znoszone, można zacząć dawać mięso wołowe, jarzynki, chleb, a następnie po trochu powracać do zwykłego trybu życia.

Ten sposób postępowania jest najwłaściwszy.

Jeżeli przejedzenie, albo zjedzenie niestrawnych pokarmów, choćby w małej ilości, spowodowywa szkodliwe następstwa, to zbytnia powściągliwość również jest niewłaściwą, pamiętać trzeba, że rekonwalescenci po tyfusie, utraciwszy znaczną część sił, przyjść do siebie mogą jedynie przy pożywnej i łatwostrawnej dyjecie.

Na zakończenie życzymy łaskawym czytelnikom, aby z powyższych wskazówek nie potrzebowali nigdy korzystać. *Dr. J. St*

Z moich wędrówek po świecie.

W Frankfurcie nad Menem.

W Frankfurcie bawiłem sześć lat z rzędu. Pobyt ten był mi bardzo miłym, bo opera tamtejsza naówczas miała znaczenie w świecie muzykalnym, powtóre miasto to leży w środku Niemiec i można z tamtąd wygodnie robić wycieczki artystyczne, bo ledwie o godzinę, lub dwie drogi leżą większe miasta jako to: Hamburg, Darmstad, Moguncja, Wiesbaden, Marnheim, Freiburg, Baden-Baden, Kapel, Würzburg i tym podobne. Wszystkie tam teatra mają dobre trupy i orkiestry znakomite.

W sąsiedztwie Frankfurtu było aż sześć miast, gdzie naówczas kwitnęła ruleta. Był to niestety, magnes, który mnie silniej przyciągał, jak wszystko, gra hazardowa należała w owej epoce do najwykwintniejszego sportu. Lecz o tem później. W Frankfurcie naówczas był repertuar bardzo urozmaicony. Od czasu wejścia w skład opery frankfurckiej sławnej primadonny pani Fabri-Mulder i znakomitego basisty Scaria, dawano nie tylko klasyczne opery niemieckie, ale i repertuar włoski miał wielkie powodzenie. Niemcy pomimo, że przekładają swoją muzykę nad wszystkie inne, nie są nieprzyjaciółmi muzyki włoskiej, szczególniej, jeżeli ta jest dobrze interpretowaną. Obok dzieł Mozarta, Bethowena, Glucka, taki „Trubadur“, „Norma“ lub „Łucja“ zawsze mają powodzenie, a szczególniej Trubadur, ten mówiąc językiem teatralnym „robi kasę“.

W roku 1863 był ogólny zjazd monarchów. Cesarz Franciszek Józef I. miał przewodnictwo całych Niemiec. Król Wilhelm sprzeciwiał się temu i to rzecz wiadoma, że sam kandydaturę tę miał na oku i szedł do celu wytkniętym i dobrze obmyślanym planem. Jak mówią, plan ten miał być jeszcze Fryderyka Wielkiego pomysłem. Wiadomo wszystkim, jak nieporozumienia te doprowadziły w końcu do wojny w roku 1866, w której Prusy pobiły Austrję i zabrały królestwo Hanowerskie, wielkie księstwo Hessen-Kassel, księstwo Nassau, wolne miasto Frankfurt i t. d. za karę sojuszu z Austrją.

Frankfurt za czasów swej niepodległości, mając na czele burmistrza, który był obierany co roku z grona 12 senatorów, był prawie najbogatszem miastem w Europie, liczył bowiem przeszło 50 milionerów. Przyjęcia więc książąt panujących były tak świetne i ten pamiętny obiad dawany przez miasto w gmachu historycznym zwanym Römer, był tak sławnym, że w historji Niemiec i Frankfurtu zapewne należeć będzie do najświetniejszych, chociaż Frankfurt słynął z historji, że wszyscy cesarze z rzędu tam koronować się musieli i bajeczne uczty dla ludu wydawali. W Römerze w sali tronowej stoją wielkie portrety wszystkich z rzędu cesarzów niemieckich, aż do byłego ostatniego Franciszka I.

Zjazd książąt na Römer był niezmiernie uroczysty. Sześciokonne ekwipaże galowe, z forysiami, paziami, błyszczące od srebra i złota jechały na górę Römer, a książę Hessen-Kasel, będąc jedynym tylko elektorem jeszcze z dawnych siedmiu, jechał w pojeździe zaprzężonym w ośm bułanków. Tylko jedyny cesarz austrjacki przyjechał zwyczajnym swym dwukonnym faetonem. Lud wolnego miasta Frankfurtu okazywał jawnie sympatje i antypatje nadjeżdżającym monarchom. Austrja miała entuzjastyczną sympatję u ludu, również król saski i bawarski, jako też książe Koburg-Gotha, który rok przed tem był prezesem uroczystości strzeleckiej i bawił się w demokratę. Hessko-Kasselski ponieważ przed kilkoma tygodniami wybił swego kamerdynera, tak, że o tem wszystkie gazety pisały, przyjęty został ogólnym sykaniem, a ten jako sławny dziwak, na obie strony pokazywał język publicznosci, przez co w tłumie powstał wielki śmiech i jeszcze więcej sykano.

Wieczorem było w teatrze wielkie galowe przedstawienie. Owoczesny teatr był na dwa tygodnie dla publiczności zamknięty. Miasto oddało go specjalnie na przyjęcie swych znakomitych gości. Pierwszego wieczora dawano w teatrze „Cyrulika Sewilski“ z Adeliną Patti jako Rozynę i doktorem Gunz z Hanoweru w roli Almavivy. Całe pierwsze piętro było w jeden przemienione salon i tylko przez panujących i czterech burmistrzów wolnych miast, jako to: Frankfurtu, Hamburga, Bremy i Lubeki było zajęte. W środku loży galowej siedział cesarz austrjacki, po prawej tegoż król saski, po lewej hanowerski, a przy scenie król bawarski i t. d. Dostojnych gości przyjmował baron Bethmann, reprezentant miasta Frankfurtu. Na drugim piętrze siedzieli ministrowie, ambasadorowie wraz z swymi attaché. Parter zajmowali: jenerałowie, adjutanci i oficerowie świty wojskowej, na galerji siedziały damy jako to: księżna Taxis, Hohenloe, Isenburg, baronowa Rothschild, Erlanger, Bethmann i inne, jaśniejące od brylantów i najwyszukańszych toalet. Tak byłem zaciekawiony tym widokiem, że nie mając roli w Cyruliku przebrałem się w kostium chóru, by tylko zobaczyć całą świetność tego ensemble.

Drugiego wieczora dano komedję, czyli farsę z życia frankfurtskiego: „Hampelmann auf Reisen“, bo teatr musiał skończyć się wcześnie z powodu wielkiej kolacji dla książąt przez barona Bethmann urządzonej. Komuż, kto był w Frankfurcie nie jest znaną statua Arjadny na Naxos. Arcydzieło sztuki, jedyne może w tym rodzaju. Formy ciała Arjadny są cudownej piękności i ponieważ światło pada przez kopułę szkieł różowych, więc posąg ma zupełnie barwę ciała ludzkiego. Podczas kolacji w tej

to kapliczce wstawiony był melofoni Patti, a po niej ja śpiewałem arję ze starożytnych oratorjów. Rozumie się, baron Bethmann po królewsku nas przyjmował, częstowano malmazią i winem cypryjskiem i dobrze wynagrodzono. Trzeciego dnia była „Lunatyczka“ z Adeliną Patti i ze mną w roli Elwira. Musiał to być jakiś dzień feralny dla polityki ówczesnej i widać, że przychodziły różne depesze do cesarza Franciszka Józefa, zapewne od króla Wilhelma, bo cesarz wybiegał ciągle ze swojej loży. Cały pierwszy akt, mimo najmożliwszych wysileń panny Patti i moich, nie usłyszałeś, ani jednego oklasku, lub brawa, bo w przedstawieniu galowem nie wolno zacząć aplauzu, dopóki osoba stojąca na szczycie zgromadzenia dworskiego nie rozpocznie. Ponieważ nią tą razą był cesarz Franciszek Józef, a teraz widać nie miał wolnej myśli ku temu, więc było cichuteńko Ognista Patti w sławnym „duo finale“ pierwszego aktu omal, że mi kurtki nie rozdarła z gniewu, mrucząc ciągle: „non intendo che fanno gli porchi tedeschi“. Dopiero w drugim akcie, gdy wybiegł cesarz z królem saskim, prezydium objął król bawarski i zaintonował oklask, który tak rzęsiście odbił się po sali, że już Patti miała twarz wypogodzoną i z uśmiechem artystycznym posełała swoje znane całuski.

Drugą epoką ważną dla mnie, było pierwsze przedstawienie „Fausta“.

M. Kamiński.

Nadesłane.

Niniejszem mamy zaszczyt zawiadomić P. T. Publiczność, iż z dniem 3. b. m. otworzyliśmy **sklep** przy pl. Marjackim l. 3, obok Hotelu George'a, z **nasionami, bukietami, roślinami** i innymi w zakres ogrodnictwa wchodzącymi artykułami, a zapewniając P. T. Publiczność o jak najrzetelniejszej usłudze, zostajemy z poważaniem (5261 4—3)

M. Woliński i T. Kaczyński
we Lwowie, Nowy Świat ul. Sadownicka 13.

W Krakowie przy ulicy Dajwor l. 14. założyli pp. Bracia Roman i Leonard Muranyi, na wielką skalę fabrykę wyrobów stolarskich, o której p Nawratil inspektor przemysłowy pochlebnie się wyraża, iż cały zakład bardzo bezpiecznie jest urządzony Wszelkie transmisje. koła rozpędowe, pasy itp znajdują się w podziemiach, a tylko same maszyny najnowszych systemów, amerykańskiego i niemieckiego, funkcjonują w olbrzymich salach warsztatowych, widnych i zasłoniętych siatkami żelaznemi. W fabryce tej pracuje obecnie 100 robotników, lecz składy i lokale są tak obszerne, iż w każdej chwili dla 250. robotników zakład rozszerzonym być może. Fabryka posiada wielkie składy suchego drzewa i suszarnie parowe z wentylatorami, oraz maszyny do wyrobu posadzek dębowych i dwie heblarnie Pan Leonard Muranyi pracując przez lat 15 w fabryce wagonów w Warszawie, nabył fachowego uzdolnienia w tym zawodzie i nie odrzeczy będzie, jeżeliby **Dyrekcje: kolejowe, pocztowe i tramwajowe,** zwróciły baczną uwagę i poparły zakład krajowy, który wszelkim wymogom jest w stanie pod gwarancją zadość uczynić. 5268-6—3.

Z różnych stron dochodzą nas wyrazy prawdziwego i szczerego uznania dla **„Concordji“**, przedsiębiorstwa pogrzebowego we Lwowie F. Opuchlaka i Syna. Ci, którzy mieli sposobność dawać zlecenia powyższej firmie, podnoszą wzorowe wypełnianie przyjętych na siebie zobowiązań i delikatność.

Wykonywanie wszelkich czynności przez funkcjonarjuszów **„Concordji“** odbywa się z podziwu godną punktualnością, szybko i zręcznie, a w sposób iście chrześcijański. Czystość wzorowa panuje we wszystkich przyrządach, dekoracjach i urządzeniach pogrzebowych, tak dalece, że pierwszorzędne tego rodzaju zakłady zagraniczne w niczem nie są w stanie przewyższać. Każdemu też powyższą firmą najsumienniej polecić można, bo kto tylko uda się do niej, w tak przykrych wypadkach, jakie niemal każdą rodzinę dotknąć muszą, będzie zadowolony i z pewnością zachowa żywe uczucie wdzięczności. 5275—4—3

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.